

Jolanta Sroczyńska-Pietz

## CIEŃ ZEGARA SŁONECZNEGO

*(fragment)*

Jej uwagę skupił czarny słoń. Był nieduży, wielkości wrony, tylko bardziej korpulentny i zwarty, pękaty, z opuszczoną do dołu trąbą. Taki słoń w samym środku miasta, na rogu ulicy Świętego Jana i Bożnicowej, to osobliwość, ale zatrzymała się przy nim tylko ona. Stała przed witryną magazynu Harwitzów, który jako pierwszy w mieście miał okno wystawowe. Uwielbiała do niego zaglądać, bo było tam mnóstwo rozmaitego towaru, od rękawiczek, pasków i kołnierzyków przez wełnę, kordonki, nici i guziki po egzotyczne bibeloty.

Znajdowała wielką przyjemność w oglądaniu tych przedmiotów, dotykaniu, a nawet też wączaniu. Wyobrażała sobie, jak te towary z dalekich stron wędrują do sklepu Ruty Harwitz, by ona, Ida, mogła dotknąć krajów, z których przybywają, zaciągnąć się ich zapachem. W jednym miejscu jak w soczewce skupiały się refleksy wysyłane z różnych zakątków świata. Jedne przedmioty omiatała tylko wzrokiem, inne dotykała opuszkami palców, a na przykład chłód jedwabnych wstążek najbardziej lubiła sprawdzać, przykładając je do policzka. Nie pragnęła mieć tych rzeczy. Ciekawiło ją miejsce, z którego przybyły, i ludzie, którzy je wykonali.

Weszła do środka przy krzykliwym odgłosie dzwoneczka zamontowanego nad drzwiami. To rozwiązanie informujące o przybyciu klienta też pierwsza w Trzemesznie wprowadziła Ruta Harwitz. W mieście zostało to przyjęte podobnie jak witryna, uznane za ekstrawagancję. Ale dla kobiety, która musiała dzielić obowiązki prowadzenia sklepu z opiekowaniem się rodziną, dzwoneczek był dogodnym ułatwieniem. Ida przesunęła dłoń po grzbiecie słonia. Był nieskazitelnie gładki.

– Z czego to?

– Z hebanu, takiego drzewa – wyjaśniła Ruta. – To przyjechało z Afryki. Słońce tam tak mocno grzeje, że wypala wszystko na czarno. Zwierzęta, ludzi, a nawet drzewa.

Chciała powiedzieć, że słonie nie są czarne, ale Ruta pochylała się już nad swoimi rachunkami, półgłosem pomagając sobie w liczeniu. Ida podniosła więc rzeźbę na wysokość twarzy, zamknęła oczy i wciągnęła powietrze. Poczowała zapach spalonej słońcem ziemi. Tak pachnie Afryka?

Czy to możliwe, żeby kawałek drewna z dawno wyciętego hebanu zachował zapach ziemi, swojej karmicielki? Bolesny skurcz przebiegł przez jej twarz, bo za tym pytaniem przyszło następne.

Czy ona, Ida, zachowała w sobie zapach swojej matki?

Wobec takich pytań była bezbronna. Dopadały ją zniecka, czaiły się w najmniej oczekiwanych miejscach i atakowały w nieodpowiednich momentach. Ściągały ją do środka. Bała się tego, co może w sobie napotkać, dlatego jak najszybciej uciekała na zewnątrz. Chwytała się tego, co było pod ręką, najbliższego przedmiotu, słowa, człowieka.

Gwałtownie odstawiała słonika i zapytała:

– Czy jest Sara?

Ruta pogrążona w rachunkach kiwnęła głową w stronę drzwi prowadzących do mieszkania. Ida przeszła do kuchni przez ciemny korytarz zastawiony po sufit meblami i pakunkami. Pachniało smażoną cebulą. Przy długim stole na dwóch ławach siedziało sześcioro dzieci, a pośrodku stała duża miska kaszy. Sara trzymała na kolanach najmłodszą siostrę. Szeroko uśmiechnęła się na widok Idy.

– Samko – zwróciła się do chłopca siedzącego naprzeciwko. – Zrób miejsce, przesun się.

Góra kaszy rozkopywana pięcioma łyżkami szybko zniknęła. Ida wpatrywała się w ten widok zauroczona.

– Dać ci łyżkę? – zapytała Sara, źle interpretując ciekawe spojrzenia przyjaciółki.

– Nie, nie, u nas... – Chciała powiedzieć, że jest inaczej przy stole, ale zamiast tego powiedziała: – Zaraz też będzie obiad.

Gdy kasza zniknęła, dzieci jak na komendę wybiegły z kuchni, z dziewczynami pozostała tylko mała Ana. Sara tuliła ją do siebie, lekko kołysząc.

– Wracam od Kopytkowej. Miałam nadzieję, że zastanę Alka na stacji. Oj, Saro – westchnęła – nie masz pojęcia, jak bardzo chcę w końcu spotkać go sam na sam.

– I co wtedy?

– Powiem mu wprost. Powiem... – Ida zatrzymała się w swoim wyznaniu, by nabrać powietrza, które bezskutecznie miało ostudzić jej gorącą głowę. – Powiem mu, że jest mężczyzną, z którym chcę poznawać świat, rozmawiać bez końca i...

– zawahała się, bacznie spoglądając rozplomienionymi oczami na przyjaciółkę. – I kochać.

– Tak nie wolno! Przecież ty go prawie nie znasz! – Sara mówiła z oburzeniem, ale na jej twarzy zamiast potępienia gościła ekscytacja. – Wystraszysz go swoją śmiałością.

– A co mam robić? Bezczylnie czekać, aż mnie zauważy? Nie umiem.

– Przecież to już się stało. Oczu od ciebie nie może oderwać. Teraz powinnaś czekać na jego następny krok.

Ida wzruszyła ramionami.

– Czuję, że nie mogę czekać. Muszę go rozkochać w sobie tego lata. Dzisiaj noc świętojańska. Przydałyby się jakieś czary albo chociaż miłosny napój – roześmiała się głośno i opowiedziała Sarze o Kopytkowej i trzech kogutach.

– Czary-mary, hokus-pokus – kończyła Ida, machając nad przyjaciółką rękoma. – Nieźle, co?

Sara śmiała się razem z nią, ale potem spoważniała i zapytała:

– A ty nie wierzysz, że są kobiety, które mają dostęp do innego świata, kontaktują się z tajemnymi siłami?

Ida popatrzyła na przyjaciółkę z niedowierzaniem, bo uważała ją za bystrą dziewczynę.

– Pytasz mnie, czy wierzę w czarownice?

– Pod lasem w Trąbach mieszka taka kobieta... Mówią na nią Babka.

– Tak, słyszałam, leczu ziołami. Ale to nie czarownica.

– Ona widzi więcej niż my. Byłam u niej z matką, gdy ojciec zniknął...

– Twoja matka? – Ida otworzyła szeroko oczy. To, że Kopytkowa wierzy w magię, zanadto jej nie dziwiło, ale Ruta Harwitz? Najbardziej racjonalna kobieta, jaką znała? – Ojca wam jednak nie odnalazła.

– Nie, ale od razu zobaczyła to, czego matka nie mogła dojrzeć przez całe lata – powiedziała szeptem Sara, bo mała zasnęła jej na rękach. Wstała od stołu, położyła siostrę do łóżka i zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

– Znajdziesz dziś po południu wolny czas?

– Może, jak matka zamknie sklep. Wiesz, jaka ona jest...

– To mnie zaprowadzisz do tej Babki – powiedziała stanowczym głosem. Sara spojrzała na nią pytająco. – No co? Chyba nas w gęsi nie pozamienia – dorzuciła ironicznie.

Wychodząc z domu Harwitzów, jeszcze raz zatrzymała się przed sklepem, by spojrzeć na słonia. Dla kogo go wyrzeźbiono? Przypomniała sobie o drewnianym koniku stojącym w jej pokoju na półce. Dostała go od pana Stacha, narzeczonego Józi. Czy tego słonia, tak jak jej konika, wystrugano dla dziecka?

Świat nie jest jednowymiarowy, pomyślała. Za jednym obrazem kryje się następny, a za nim kolejny. Jedno miejsce łączy się z innymi poprzez różne więzy: szlaki komunikacyjne są grube jak powrozy, przynależność państwowa jest podobna do znieawidzonej smyczy,

głęboko w przeszłość prowadzą trakty historii, a prywatne historie mieszkańców są jak subtelne nici, czasami bardzo długie, ciągnące się do dalekich krajów i na inne kontynenty.

### 3

Trąby były przysiółkiem Niewolna. Leżały jakieś cztery kilometry za Trzemeszmem. Całą drogę Sara opowiadała o matce. Skarżyła się, że tylko wydaje rozkazy. Dziewczyny minęły wieś i głównym traktem prowadzącym do Kruchowa schodziły w dół, w nieckę jeziora Kamionek. Teren był tu mocno pofałdowany, gdzieniegdzie między wzniesieniami przycupnęły chaty. Dom Babki stał pod lasem. Sara poznała ją półtora roku temu, kiedy matka szukała ojca. To był jedyny raz, gdy wydawało się, że Ruta straciła kontrolę nad swoim i ich życiem. I jedyny raz, gdy Sara czuła z matką bliskość.

Meyer Harwitz był mełamedem. Przeprowadzili się z Gołańczy, bo tamtejszy kahał miał wiele zastrzeżeń do jego pracy, a gmina żydowska w Trzemesznie potrzebowała nauczyciela od zaraz. Ruta nie chciała się przenieść, ale mężowi bardzo zależało, a to był czas, gdy Rucie jeszcze zależało na mężu.

Przeprowadzka niewiele zmieniła w podejściu Meyera do nauki, nie miał po prostu serca do tej pracy. W chederze uczyła się prawie setka dzieci w różnym wieku. Brakło mu dla nich cierpliwości. Drażniły go.

Z pensji dwustu talarów rocznie trudno było związać koniec z końcem. Ruta otworzyła sklep z galanterią, jakich kilka prowadziła jej rodzina w rejencji bydgoskiej. Od dziecka pomagała rodzicom w takim handlu, wiedziała, jak się do tego zabrać i wykorzystać rodzinne kontakty handlowe z dostawcami towarów. Była pracowita i dobrze zorganizowana, dlatego nowy magazyn szybko zyskał opinię najlepiej zaopatrzonego. Oczywiście nazywano go sklepem Harwitza lub Harwitzów, choć Meyer do handlu w ogóle się nie mieszał, do sklepu nie zaglądał, a Ruta musiała godzić obowiązki domowe ze sklepowymi.

Im bardziej powiększała się jego rodzina, tym mniej było jego samego. Całymi dniami przebywał w szkole. Lubił to miejsce tylko wtedy, kiedy uczniowie je opuszczali. Delektował się ciszą, która po nich nastawała. Tu miał czas na swoje książki, tu miał miejsce dla swoich myśli. Wędrował w nich po świecie niczym biblijny Abraham. Do domu wracał późnym wieczorem, gdy sześcioro jego własnych dzieci już spało. Nie znosił rozgardiaszu, chaosu

panującego w domu. Tego w chederze miał wystarczająco dużo. Tak więc dzieci Meyera widywały ojca w domu tylko w szabat.

Sara miała duży żal do matki, która zawsze z nimi była, dbała o dom, karmiła ich i walczyła o każdego feniga, prowadząc sklep. Była obecna w jej życiu zawsze. I wszędzie. Było jej za dużo. Ta wszechobecność Sarę przytłaczała, tłamsiła, zabierała potrzebną do życia przestrzeń. Buntowała się. Próbowwała oddzielić się od matki i ciągle miała poczucie, że przegrywa. Ojca nie było. Nie było go nie tylko fizycznie w domu, Ida zauważyła, że nie było go we wspomnieniach Sary, nie było go nawet w żalach i pretensjach jego córki. Jego braku nikt nie zauważał.

Dla Idy było to zupełnie obce.

Nieobecność była częścią jej życia. Wciąż musiała się z nią mierzyć. Starła się zapomnieć, a potem przysięgała wierność pamięci. Nieobecność ją tworzyła i wypełniała. Nie była to pustka, lecz dojmujący brak kogoś bliskiego, odczuwany fizycznie, psychicznie i duchowo. Kogoś tak bliskiego, że jego nieobecność jest jak brak części siebie.

To jest właśnie nieobecność. Brak, który boli.

Wieczór w domu. Świece się palą na pięknie zastawionym stole. Mama stoi przy oknie. Ma na sobie szkarłatną suknię. Miękka tkanina marszczy się i opada na podłogę. Ida przydeptuje ją, wtula się w fałdy. Mama bierze ją na ręce i wskazuje niebo.

– To jest gwiazdka, na którą czekaliśmy, żeby zacząć Wigilię. Widzisz?

Ida widzi twarz mamusi, jasny pukiel jej włosów łaskocze ją w nos.

– Pokaż paluszkiem gwiazdkę.

Teraz dopiero odwraca się do okna i wyciąga rączkę w stronę nieba.

– A tam niżej jest taka... – mama ścisza głos – jest taka mgła.

Ida znów odwraca głowę, by sprawdzić, dlaczego matka szepcze. Mama ma świetlistą twarz. Biję od niej anielski blask.

– Popatrz. – Robi pauzę i czeka, aż córka znów spojrzy w niebo. – To są miliony małych gwiazdek.

Idę bolała nieobecność matki.

Sarze ciążyła obecność matki.

Matka Idy zawiniła swoją nieobecnością.

Matka Sary zawiniła swoją wszechobecnością.

A Meyera Harwitza po prostu nie było.

Zanim zniknął na zawsze, odchodził krok po kroku. By nie słuchać po nocach pretensji żony, zaczął sypiać w szkole. Do domu nie zaglądał. Ruta zarządziła, że każde z

dzieci będzie nosić mu obiady. Najstarsza Sara robiła to w niedziele, i kolejno: Eliasz w poniedziałki, Samuel we wtorki, Judyta we środy, Natan w czwartki. W piątki kolej była na najmłodszą Anę, chodziła z nią matka, by odebrać od ojca pieniądze na życie. Z tych wizyt nic nie wynikało poza dwoma talarami.

Kahałowi to się nie spodobało, starszyzna wezwała Meyera na rozmowę i zażądała, aby wrócił do domu. Odpowiedział, że jest nomadą, synem Abrahama, wielkiego wędrowcy, i nie ma domu tu, na ziemi. Gdy mu zakazali sypiania w szkole, poszedł w świat. Nikt nie wiedział dokąd. Naukę w szkole zawieszono, dzieci miały dodatkowe wakacje.

To wtedy właśnie jeden jedyny raz Sara widziała swoją matkę wytrąconą z równowagi. Rucie świat wymknął się spod kontroli. Właściwie tylko Meyer wymknął się jej spod kontroli, ale to było za dużo. Szukała go po szynkach i karczmach, potem dalej wśród rodziny. Bez rezultatów. Ostatecznie w przypiływie desperacji udała się z Sarą do Babki w Trąbach. Dziewczynie ta wizyta mocno zapadła w pamięć.

Ruta poprosiła Babkę, by pomogła jej odnaleźć męża.

– Potrzebuję jakiejś rzeczy, która do niego należy.

Była na to przygotowana, przyniosła zapasową jarmułkę męża i podała go kobiecie. Ta, zanim wzięła ją do ręki, przeżegnała się. Zamknęła oczy, przyłożyła myckę wewnętrzną stroną do twarzy i mocno zaciągnęła się jej zapachem. Zaczęła niezrozumiale mamrotać pod nosem i kołysać się miarowo w przód i w tył. Potem dorzuciła do paleniska suche zielsko i uporczywie wpatrywała się w ogień.

– Twój mąż odszedł.

– Też mi nowina, raczej nie został porwany – zirytowała się Ruta, nie tego oczekiwała.

Babka spojrzała na nią gniewnie.

– On znajduje szczęście tylko w drodze. Nie zatrzymasz go.

Na policzkach babki, nie wiadomo, czy od wizji, czy od bliskiego siedzenia przy ogniu, pojawiły się wypieki, a na skroni zaperliła się kropla potu. Ruta, wcześniej skarcona wzrokiem, powstrzymała się przed kolejnym komentarzem.

– Widzę go. Jest w drodze. Zatrzymał się na noc w lesie, siedzi przy ognisku. Dobrze mu tam.

– Przy ognisku? W nocy? – nie wytrzymała Ruta. – Chyba Babka pomyliła mojego męża, uczonego Żyda, z jakimś Cyganem!

Wyrwała Babce z ręki jarmułkę i wybiegła z chaty.

Meyer wrócił do chederu po tygodniu, w domu się nie pokazał. Starszyzna przymknęła tym razem oczy na mieszkanie w szkole. Ale działo się tam coraz gorzej. Nauczyciel nie radził sobie z dyscypliną. Stawiał na środku najlepszych uczniów i kazał im odczytywać na głos Talmud, a sam odpływał myślami gdzieś daleko. Dzieci szybko się tym nudziły, więc wymyślały sobie różne zajęcia. Rozmawiały, dokuczały sobie, kopały i szarpały. Meyer spoglądał w okno pustym wzrokiem, nie reagując na to, co dzieje się w sali. Dzieci najpierw sądziły, że się zamyśla na tak długo, potem uznały, że ich melamed zasypia z otwartymi oczami.

Skargi od rodziców mnożyły się w kahale, więc znów go wezwano. Zagrożono, że straci pracę. Następnego dnia uczniowie zastali zamknięte drzwi od szkoły. Meyer Harwitz – jedyny nomada wśród trzemeszeńskich Żydów – ponownie ruszył w drogę.

Wrócił po dwóch tygodniach. Zapowiedziano mu, że jeżeli jeszcze raz porzuci pracę, nie dostanie kolejnej szansy.

Nawet się starał. Wpatrzony w okno dotrwał do wakacji. Dyżurny czytał na głos, Meyer zajmował miejsce na wprost okna, zastygwał w milczeniu i znikał. Dzieci już go nie obserwowały, nie odgadywały, czy zamyśla się, czy zasypia. Przystawały go zauważać, zapominały o nim. Dla nich też znikał. Rok temu latem zamknął szkołę, oddał klucz rabinowi i zniknął ostatecznie.

Nie pozostawił po sobie nawet nieobecności.

*Jolanta Sroczyńska-Pietz „Cień zegara słonecznego”, Fundacja Duży Format, Warszawa 2019.*